Z pamiętnika poety

Florian Śmieja (1925-2019)



Fot. Pexels z Pixabay

> **CZEKAM NA WNUKI**
>
> Moje pociechy pędzą swoje życie.
>
> Nie mają czasu ani cierpliwości
>
> by mi niekiedy pomóc z komputerem.

Zachciało mi się jeszcze technologii

i nie nadążam już za nowościami

nie rozumiem języka, aplikacje

manipulują bezkarnie, bo w ciemno

i najczęściej klikam na chybił trafił

z przewagą na chybił. Chociaż rozumiem

że w dzisiejszych czasach bez komputera

nie można się obejść, to z awariami

mam więcej do czynienia niż z ich pracą.

Oflagują się, aby nic nie robić

i bądź tu mądry jeśliś nie fachowiec

albo amator oprogramowania.

Skoro nie chcę rozzłościć moich pociech

> to ograniczam się do prostych ruchów
>
> płacę frycowe za brak kompetencji
>
> czekam na wnuki, bo będą łaskawsze
>
> i bardziej za pan brat z elektroniką.

***

> **PO PRZERWIE**
>
> Po kilku jałowych dniach dość nieśmiało
>
> podchodzę do komputera niepewny
>
> czy już się znarowił niodwracalnie
>
> a jego *„non serviam”* jest ostateczne
>
> i nie ma już od niego odwołania
>
> czy odpocząwszy wznowi swe czynności
>
> przywoła słowa, wezwie inspiracje

> i spróbuje nadrobić utracone?

***

> **ZUPA Z GWOŹDZIA**
>
> Wstałem o świcie, aby się uraczyć
>
> racją świadomego milczenia zanim
>
> rozpoznam dzień i jego możliwości
>
> bo nawet brak poczty na monitorze
>
> nie musi oznaczać zrezygnowania
>
> z ambitnych planów albo zaniechania
>
> zaczętej akcji. Jestem doświadczonym
>
> kucharzem, zrobię zupę na gwoździu.

***

ZADANIE

Muszę skojarzyć moją wyobraźnię

z możliwościami zapisu. Przed świtem

pracuje jej się najlepiej w milczeniu

półmrok ośmiela najpewniej fantazję.

Jak wytrenować pamięć, by do świtu

zachowała ślady mocowania się

z aniołem natchnienia, który ją nawiedził.

***

UTRWALACZ

Pilnie szukam takiego instagramu,

któryby zanotował, co uroi

głowa, bo tyle mi gdzieś przepada

między zamysłem a tym, co potem

widzę na stronie. Utrwalacz konieczny

bo bez niego zbyt wiele już straciłem.

***

PRAWICA

Prawica, którą za młodu ciskałem

kulą i dyskiem na medal, ostatnio

osłabła, że z trudem puszki otwiera.

Dobrze, że może się jeszcze uchwycić

pewnie poręczy, bo lewica padła.

***

ILOŚĆ

Ilość raczej nie przemienia się w jakość.

Mówimy wtedy o wielkiej płodności

pracowitości, ciągłym próbowaniu

dbałości o ustawiczne wystawy

prezentacji, wnikliwej buchalterii

łudzeniu się, że chęć szczera to talent

a wielokrotność wejść zapewni aplauz.

Bez szczególnego błysku nie wystarczy.

Zobacz też:

Ze Śląska w świat literatury i nauki. Prof. Florian Śmieja (1925-2019) o sobie.

Słowa ze skradzionych chwil

Naukowa wędrówka po hiszpańskojęzycznej literaturze

Kwiecień – bohater literacki



Józef Chełmoński (1849-1914), Bociany, 1900, olej na płótnie, 150×198 cm, Muzeum Narodowe w Warszawie, fot. wikimedia commons

Włodzimierz Wójcik *(Sosnowiec)*

Czwarty miesiąc roku sypie kwiatami; w naszych ogrodach pojawiają się żonkile, prymule, stokrotki, a pękate krzewy forsycji pysznią się wprost potęgą żółci, która w szarym o tej porze roku pejzażu Zagłębia i Śląska pełni funkcję słonecznych promieni. Raz po raz prószy śnieg przypominający swoją konsystencją kaszę perłową. W jednej chwili przekształca się w

prawdziwą zadymkę, to znów w ostrą wiosenną ulewę. Sprawdza się obiegowe przysłowie: „Kwiecień plecień, wciąż przeplata trochę zimy, trochę lata”. Bywa jednak, że potwierdza się i inne: „Czasem kwietnia pora letnia, czasem zwiedzie, w marzec zjedzie”. Niektóre spośród tych rymowanych mądrości ludowych mają charakter prognostyczny. W bogatej księdze przysłów czytamy między innymi: „Kwiecień, co deszczem rosi, wiele owoców przynosi”, „Śnieg kwietniowy trawie i konikowi zdrowie” oraz „Suchy kwiecień, mokry maj, będzie żyta niby gaj”.

Można powiedzieć, że miesiąc ten jest prawdziwym bohaterem literackim. Jego uroki sławił w wieku XVII Jan Żabczyc (w cyklu poetyckim „Kalendarz wieczny”), w XIX Hieronim Marcinkiewicz i Stanistaw Egbert Koźmian, Syrokomla i Romanowski. Reymont na progu naszego stulecia sławił kwietniowy pejzaż polski i wiosenny wysiłek człowieka na roli. Na pierwszych stronach trzeciej części „Chłopów” pisał:

> Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk mroków i mgieł, jako ten parob, któren legł spracowany, a nie wywczasowawszy się do cna, zrywać się ano musi nade dniem, by wnetki imać się pługa i do orki się brać.
>
> Poczynało dnieć.

> Ale cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosy kapały rzęsiście z drzew pośpionych w mącie nieprzejrzanym.
>
> Niebo, kiej ta płachta modrawa, przejęta wilgotnością i orosiała, przecierało się już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mrokach zagubioną.
>
> Mgły niby mleko wzburzone przy udoju zalewały łęg i pola nizinne. Kokoty zaczęły piać na wyprzódki gdziesik po wsiach jeszcze niewidnych.
>
> Ostatnie gwiazdy gasły kiej oczy, śpiączką morzone.
>
> Na wschodzie zaś, jako zarzewie, roztlewające spod ostygłych popiołów, jęły się rozżarzać zorze czerwone. (..) Dzień się już stawał i przepierał z blednącą nocą, która przywierała do ziem grubym, przemoczonym kożuchem.

Reymont w rytmie kwietniowych dni i nocy widział zarówno piękno przyrody jak też sens i humanistyczny wymiar powszedniego trudu rolnika. Kilkadziesiąt lat później – z perspektywy doświadczeń wojny i okupacji – Julian Przyboś kreował poetycką wizję kwietnia zupełnie na inny sposób. W wierszu mającym oryginalny tytuł „4. IV. 1943” (z tomu „Póki my

żyjemy” 1944) pisał:

> Wróg ginie, wróg zwycięża,
>
> armie wstają, armie zapadają w grób,
>
> a już na cały głos na gałęziach
>
> ptaki za mnie wyraziły drzewa;
>
> i spod śniegu, który ziemię z oczu start mi,
>
> nagle w cichej śnieżycy okwiecia
>
> wyjawiły się trześnie
>
> w pośpiechu przed moimi ustami!
>
> Z łatwością lotu we śnie
>
> uniosę cię z natchnienia
>
> jak z bitwy
>
> w zielony gaj, w pokój,

> wiosno, piosenko rzewna
>
> na imieniny kwietnia
>
> czterdziestego trzeciego roku!

Jak widać kwiecień znaczony jest bezustannym ścieraniem się ze sobą różnych sił. W przytoczonych przysłowiach są to: chłód i ciepło, susza lub deszcz, deszcz lub śnieg. U Reymonta spierają się ze sobą noc i dzień, chmury i słońce, praca i zmęczenie. W poetyckiej wizji Przybosia zderzają się siły śmierci, znaczone wojennym totalitaryzmem, z żywiołem przyrody symbolizującej życie, rozwój, tworzenie, nadzieję. Warto zwrócić uwagę na to – ale mam tu na myśli porządek już pozapoetycki – by kwietniowej erupcji zieleni i barw nie tylko nie zagrażał totalitaryzm wojenny, ale i totalitaryzm siarki, kwaśnych deszczów, ołowiu, smogu. Warto chronić to, co przynosi nam kapryśny, ale i hojny miesiąc…

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

Od redakcji

Dotrota Kobiela, która reżyserowała nominowany do Oskara film „Twój Vincent” przygotowuje nową niezwykła produkcję. Będzie to ekranizacja powieści Władysława Reymonta „Chłopi”, za którą pisarz otrzymał w 1924 r. nagrodę Nobla. „Twój Vincent” był pierwszą na świecie pełnometrażową animacją malarską. Został najpierw nakręcony jako typowy film aktorski, a następnie każda klatka została namalowana farbą olejną w stylu malarstwa Vincenta Van Gogha przez ok. 100 artystów polskich i zagranicznych. „Chłopi” również zostaną najpierw nakręceni jako typowy film aktorski. Wystąpią m.in. Mirosław Baka, Małgorzata Kożuchowska, Ewa Kasprzyk. Następnie, tak jak w poprzednim filmie, zostanie wykorzystana technika malarska, tym razem inspirowana malarstwem polskich twórców przełomu XIX i XX w. – Józefa Chełmońskiego, Leona Wyczółkowskiego czy Jacka Malczewskiego. Zaangażowanych zostanie 50 malarzy w trzech studiach – w głównym w Sopocie oraz w Serbii i na Ukrainie. Namalują oni ok. 72 tysiące obrazów, które staną sie podstawą animacji.

Zapowiedź filmu:

***

Zobacz też:

Marzec – zapowiedź wiosny w poezji

Żegnając Adama Zagajewskiego

Katarzyna Szrodt *(Montreal)*

I w śmierci będziemy
żyli,

tylko inaczej, delikatnie i
miękko,

rozpuszczeni w muzyce…
/Bez końca/



Zdawał się być wysłannikiem Parnasu na ziemię, by wziąć w obronę poezję, piękno, delikatność. W swoich wierszach i esejach nieustannie przypominał nam, że istnieje życie duchowe, mistyka, tajemnica.

Adam Zagajewski zmarł 21 marca, w Światowy Dzień Poezji. Od lat towarzyszyła mi jego twórczość, ucząc spoglądania na świat, ludzi, dzieła sztuki. Czytając utwory Zagajewskiego zamieniałam się w studentkę prowadzonego przez niego kursu nazwanego w jednym z wierszy „Mistyką dla początkujących”. Słuchałam

uważnie nauk i wierzyłam w obietnice:

> Schronimy się w dzwonach, w kołyszących się
>
> dzwonach, w huku, w powietrzu, w sercu uderzeń /Dzwony/

Czasami obrażałam się na Niego za pięknoduchostwo, estetyzm, elitaryzm, bo jeśli podróżował to tylko do Toskanii, czy Burgundii, zwiedzał muzea delektując się obrazami mistrzów, zachwycał się pływaniem w Morzu Śródziemnym, przyjaźnił się z wyjątkowymi osobami. Ale jednocześnie brał w obronę słabość, delikatność, zwyczajność. I właśnie ta równoległość tych dwóch uzupełniających się, a nie wykluczających wątków, jest siłą tej poezji. Fascynowała mnie zawsze głębia abstrakcyjnego myślenia w niej ukrytego, rozległa znajomość literatury, historii, sztuk pięknych i muzyki klasycznej. Poeta nieustannie pogłębiał swoją wiedzę, o czym kilkakrotnie pisał w esejach. Wtedy, gdy opuszczał go płomień natchnienia, czytał dzieła innych mistrzów, słuchał muzyki, pogłębiał wiedzę czekając na dar tworzenia:

> Poezja to wiatr wiejący od bogów, mówi
>
> Cioran, powołując się na Azteków….

> Oby wrócił ten wiatr.
>
> Wiatr wiejący od bogów,
>
> niech przyjdzie, niech obudzi
>
> ten wiatr. / Wiatr/

Vita activa i *vita contemplativa* – dwa pojęcia często przywoływane przez Poetę, mające nas ustrzec przed zagubieniem się w zgiełku codzienności. *Vita contemplativa* – nakazujące nam przystanąć, wsłuchać się w siebie, w śpiew ptaków, w ciszę panującą w katedrze, w której unoszą się anioły. Zagajewski jest świeckim mistykiem zatroskanym nieobecnością duchowości, dobra, wrażliwości w naszym życiu. Obarcza poezję tajemną misją przywrócenia dzisiejszemu światu utraconych wartości:

> Wiem, że są przynajmniej cztery rzeczywistości
>
> a nie jedna, i wszystkie przenikają się
>
> nawzajem, jak cztery Ewangelie / Obecność/

Zamieszkałam w tej poezji, oddycham jej powietrzem, zachwycam się doskonałością metafor opisujących świat i myśli. Zawsze na nowo zdumiewa mnie puenta wierszy, do której powoli skrada się każde słowo, by nagle zaskoczyć, unieść, olśnić, jak w „Ziemi ognistej”, najbardziej „moim” wierszu-modlitwie:

> Bezimienny, niewidzialny, milczący,
>
> wybaw mnie od amnezji,
>
> zabierz mnie na ziemię ognistą,
>
> weź mnie tam gdzie rzeki
>
> płyną pionowo, pionowo płyną
>
> rzeki poziome. /Ziemia ognista/

Jak sam Poeta napisał w „Odzie do wielości”: „Wiersz rośnie na sprzeczności, lecz jej nie zarasta” – wokół tej sprzeczności i niejednoznaczności oscyluje jego poetycka metoda: między ruchem i bezruchem, między ironią a głębią emocjonalną, między erudycją a prostotą, między muzycznością a malarskością, w tych „przestrzeniach pomiędzy” rośnie poezja.

Czesław Miłosz porównał wiersze Adama Zagajewskiego do „gobelinów, na których drzewa, kwiaty, ludzkie postaci współtworzą jeden wzór”, to wielość świata opisana z zachwytem, głęboką mądrością i odpowiedzialnością za każde słowo.

Niech to wspomnienie i pożegnanie Adama Zagajewskiego zakończy „Płomień” – modlitwa i zaklęcie dla nas, żyjących:

> Boże, daj nam długą zimę
>
> i cichą muzykę, i usta cierpliwe,
>
> i trochę dumy – zanim
>
> skończy się nasz wiek.
>
> Daj nam zdziwienie
>
> i płomień, wysoki, jasny.

Zobacz też:

O poecie Adamie Zagajewskim

Doliną Issa w dal płynie

Irena Duchowska *(Litwa)*

Urodzona i mieszkająca na Litwie polska poetka, pedagog, działaczka społeczna, wielokrotnie nagradzana za krzewienie języka oraz kultury polskiej na Litwie. Uhonorowana Srebrnym Krzyżem Zasługi RP za wybitne zasługi w propagowaniu kultury polskiej.



Rzeka, fot. Rudy and Peter Skitterians z Pixabay

> ***O Laudzie***
>
> I cóż to za Polak,
>
> Co trylogii nie czyta
>
> I będąc na Litwie,
>
> O Laudę nie spyta?
>
> *

Nie wie o tym, że tu

Polskość wieki przetrwała.

Pamięć o Kmicicu

W legendach została.

*

Lubicza brak na mapie,

Ale są Wodokty Oleńki

Choć pałacu już nie ma śladu,

Zachował się kościół maleńki.

*

Mitruny widać po drodze,

Pacunele dumnie witają,

Na starym cmentarzu

Znani rodacy spoczywają.

*

Szetejnie mają nowy dwór

Kraj ten Miłoszem słynie,

W parku rośnie jego dąb,

Doliną Issa w dal płynie.

Strony rodzinne

Dawne strony rodzinne…

Nie zamienią ich inne!

Pamięć o nich zostanie,

Chociaż przyszło rozstanie.

*

Ule pszczele i pasieka…

Klon widoczny z daleka,

Obok duże kasztany,

Chmiel wijący altany,

*

Krzak jaśminu za płotem,

Wygon rozległy z błotem,

Który bocian nawiedza…

Dalej już widać miedza.

Słomianka

Moja Słomianka,

niegdyś

zadbana rodowa siedziba.

Już niewiele po niej zostało…

Miejsce,

gdzie stała stodoła

porosło pokrzywą,

sadzawkę zasypano

i rosną w niej krzaki,

po studni źródlanej wody,

za gościńcem,

nie zostało śladu,

zbutwiał krzyż przy drodze,

spiłowano klony,

połamały się płoty,

znikły śliczne kwiaty,

chata zmurszała

i jakby osiadła

pod ciężarem lat.

Dziś

kłóci się z mą pamięcią,

tam już nie jest mój dom.

Sad

W starym sadzie już nie ma czereśni

I słodkiej jabłonki dziś brak

Wtulona w brzozę słyszę dawne pieśni

Pamiętam jabłek rumianych smak

*

Dawno zamilkł już młyn wesoły

Za łąką znikły zbóż złociste łany

Nie pilnują podwórza sokoły

I cymbały już nie wołają w tany

*

Brak uli w sadzie, wymarły pszczoły

Znikły w malinach szyszki chmielu

Straszą pustej sadzawki oczodoły

Sad źródłem wspomnień wielu

Ks. Jan Naumowicz

Księdza stryja osobiście nie znałam,

Ale wiele dobrego o nim słyszałam.

To legenda, honor naszej rodziny!

Akacje kwitły mu na imieniny.

*

Za swą życzliwość powszechnie lubiany,

Służbie w kościele był wielce oddany.

W Święcianach po dziś o nim pamiętają,

Świeże kwiaty grób stale upiększają.

*

Była wojna, straszne, okrutne czasy,

Odgłosy mordu pochłonęły lasy…

Niby przestępców i księży schwytano,

Błogosławiącym lud życie odebrano.

*

Niewinnym zakładnikiem ksiądz Janek był,

Śmierć spotkał wspierając współbraci, tak żył.

Jego winą największą – bycie Polakiem!

> Za nim dążymy raz utartym szlakiem…

Zobacz też:

> Myślą gonię do Macierzy

List Do Generała Suttera

Adam Lizakowski *(Chicago-Pieszyce)*



Generał John A. Sutter (1803-1889), ok. 1875 r., fot. The Huntington Library, Art Museum and Botanical Gardens
Dwadzieścia lat myślę o tym, jak rozpocząć list

o tobie, o twym życiu generale. Kto nie zna ciebie,

kto nigdy o tobie nie słyszał,

komu łzy nie płynęły przy czytaniu

historii twojego życia,

która jest żywą historią Kalifornii,

miasta San Francisco, nie ma prawa nazwać się

K A L I F O R N I J C Z Y K I E M

Kto nie widział twojego fortu w dolinie Sacramento,

kto nie chodził ulicami miasteczka Colomy, nigdy

nie zrozumie, czym była i jest Kalifornia dla milionów

ludzi żyjących marzeniem o lepszym jutrze, lepszym życiu.

Próbowałem coś napisać do ciebie, a jednak dwadzieścia lat

mi to zabrało.

J O H A N N I E A U G U Ś C I E S U T E R Z E

Ty

z pokładu „Esperance” – pierwszego parowca kołowego

z kwadratowymi żaglami

dumnie wpływającego do Nowego Yorku,

Ty

bankrucie, uciekinierze, złodzieju, włóczęgo,

oszuście, mógłbym powiedzieć, że cię kocham.

Uciekłeś z Europy jak szczur.

Kogo

mogłeś okraść, to okradłeś,

kogo

mogłeś oszukać, to oszukałeś,

ktokolwiek

pokładał w tobie

jakiekolwiek

nadzieje, zawiódł się,

i tak rozpoczyna się cudowna podróż, krwawe życie,

przeklęty los, tysiące wylanych łez, śmierć najbliższych

generała Johanna Augusta Suttera.

Jest niedziela.

P s s s s s s s s s s s s s s

Ty

w Nowym Jorku w 1834 roku – rozbitku ze Starego Świata,

Ty

w Nowym Świecie odkrytym dla życiowych rozbitków,

malkontentów, nieudaczników, włóczykijów, straceńców,

którzy całe swoje życie postawili na jedną kartę,

których po świecie gnała romantyczna pasja,

młodzieńcza naiwność, gorąca krew, pragnienie bogactwa,

łatwego życia, taniego wina, pięknych i cudzych kobiet,

Ty

wśród nich, tych niepokornych, pierwszych socjalistów

z Niemiec, pierwszych mistyków z Rosji, pierwszych

zwolenników systemu falansterów z Francji,

Ty

wśród ideologów, których szczują wszystkie policje Europy,

wśród wielkich umysłów epoki i wśród ludzi, którym brakuje

piątej klepki, wśród bandytów z portów Londynu czy

Amsterdamu,

Ty

wśród chłopów ze Szkocji i Irlandii, głodującej Skandynawii,

upośledzonych gospodarczo Włoch, wśród greckich, polskich,

węgierskich patriotów, ofiar wojen napoleońskich,

Ty

z lekkim sercem opuszczasz generale Nowy York,

wschód Ameryki, w dolinie Missisipi też nie zagrzejesz

długo miejsca, skierujesz się na

Z A C H Ó D

Tam,

gdzie miliony bizonów beztrosko gryzie trawę,

gdzie

tysiące chętnych pojechały szukać bogactwa i mało kto wrócił,

jedni

umarli na prerii, drudzy z głodu, z pragnienia,

jedni

umarli na pustyni z gorąca, drudzy w górach z zimna,

innym

Czerwone Twarze zdjęły skalpy z głów.

Generale,

tobie Indianie uratowali życie, oni pierwsi powiedzieli ci

o tym zaczarowanym słowie – miejscu magii i cudowności:

K A L I F O R N I A

Kalifornia od chwili jej odkrycia stanowiła część korony

hiszpańskiej. Była jedną z prowincji wicekrólestwa

hiszpańskiego w Meksyku. W 1839 roku stolicą prowincji

było Monterey liczące 35 tysięcy mieszkańców, w tym

5 tysięcy białych i około 30 tysięcy Indian. Ty jednak

generale wybierasz dolinę Sacramento, osiedlasz się

przy ujściu rzeki Rio de los Americanos, zakładasz

własne państwo – Nową Helwecję, dochodzi do potyczek

z Indianami, wkraczasz na ich tereny łowieckie.

Chwycili za broń, nocami podpalali stogi i stodoły,

za dnia mordowali samotnych pasterzy, kradli bydło,

nie było dnia, żeby nie przyniesiono trupa zabitego

farmera, trupa oskalpowanego drwala lub plantatora,

po wielu trudach i wysiłkach żyjesz jak król,

zwą cię cesarzem, tysiące ludzi pracuje u ciebie

i dla ciebie, niczego ci nie brakuje, chociaż dużo pragniesz,

ludzie o tobie mówią, że jeździsz na białym koniu, siodło

masz ze złota, wędzidło także złote, tak jak i strzemiona,

i ostrogi, nawet podkowy konia są ze złota.

W kraju, w którym mieszkasz, panuje nieustające święto,

wódka całymi dniami leje się strumieniami.

Wielu widzi w tobie przeznaczenie, ojciec Gabriel,

opiekun Indian, którego nauki są znane wśród dzikich plemion,

bo żyje pośród Siuksów, Osagow, Komanczy, Czarnych Stóp,

Węży, Niedźwiedzi, Pum, którego słuchają jak wyroczni,

powiedział: Kapitanie

(wtedy Sutter był jeszcze kapitanem)

kawał historii świata spadło na twoje barki,

ale ciągle mocno się trzymasz. Unieś głowę wysoko, wysoko,

rozejrzyj się wokół. Popatrz na te tysiące młodych i starych ludzi

przybywających tu codziennie, aby pracować nad zdobywaniem

S Z C Z Ę Ś C I A

Z Europy sprowadzasz nowe nasiona, sadzonki drzew owocowych, zakładasz plantacje bawełny, ryżu, indo, winnice, pojawiają się inni biali zwabieni twoim bogactwem i sławą, głównie Rosjanie, Niemcy, Irlandczycy, im dajesz pracę, zatrudniasz zgodnie z ich umiejętnościami, codziennie w porcie San Francisco ładują na statki twoje konie, skóry, talk, pszenicę, mąkę, kukurydzę, suszone mięso, sery, masło, deski, wędzonego łososia, liczne stada pasą się na soczystych łąkach, sady obfitują w owoce, w warzywnikach rosną jarzyny ze starego świata obok roślin tropikalnych, rzędy magnolii, palm, bananowców, drzew kamforowych, pomarańczy, cytrusowych drzewek. Jadło jest znakomite, czego tylko ludzkie podniebienie zapragnie, zakąski, pstrągi i łososie z miejscowych rzek, szynka pieczona na szkocką modłę, udziec sarni, łapy niedźwiedzi, wędzony ozór, faszerowany prosiaczek posypany mączką z tapioki, reńskie, a także trochę starych win francuskich, które przejechały pół świata i nie zwietrzały, tak o nie dbano.

Do stołu podają najpiękniejsze kobiety z Hawajów i innych wysp,

śliczne Indianki i Metyski, przygrywa orkiestra hawajska,

na końcu, gdy wraca odwaga i pewność siebie, jak każdy emigrant,

któremu się udało, po 14 latach zapraszasz do siebie rodzinę.

R O D Z I N A

W cieniu włoskiej altanki, głaszcząc ulubionego psa,

myślisz o rodzinie, zostawiłeś ją w nędzy:

żonę, trzech synów i córkę,

lecz przez te wszystkie lata o nich myślałeś,

jak każdy emigrant umierałeś za nimi

z tęsknoty w wielkiej samotności będąc częścią zwariowanego

świata ludzi i przedmiotów, marzeń i snów

wymieszanych z rzeczywistością,

gdy nadarzyła się okazja, pomogłeś, zawsze pomagałeś,

czas pomyśleć o rehabilitacji, o honorze, nazwisku,

zanim oni do ciebie dotarli, zanim postawili stopę

na kalifornijskiej ziemi, musieli spłacić twoje długi

w starej ojczyźnie, unieważnić hańbiące wyroki,

wypolerować twój portret w oczach

ludzi, którzy jeszcze żyli, jeszcze cię pamiętali,

pomogły w tym twoje amerykańskie dolary,

które wysyłałeś z każdym miesiącem

więcej i więcej, i więcej, i więcej

aż zostałeś uznanym i szanowanym człowiekiem,

cieszącym się zaufaniem największych banków świata,

lecz

stała się rzecz straszna, sam diabeł spiskował,

wszelkie moce piekielne się sprzysięgły przeciwko tobie,

teraz to widzę i rozumiem i nie ma nic w tym dziwnego,

że na stare lata zostałeś najlepszym interpretatorem Apokalipsy,

pan Marszall

cieśla z New Jersey, budujący młyny dla ciebie, odkrył złoto w nowo wybudowanym tartaku w Colomie, na twojej ziemi odkryto żyłę złota, górę złota, morze złota, kopalnie złota, w jednej chwili stałeś się najbogatszym człowiekiem świata, to co się stało później, było straszne, złoto cię zrujnowało, złoto zabiło marzenia, złoto, przeklęte złoto, nie możesz tego zrozumieć mów:

G O R Ą C Z K A Z Ł O T A



Kobieta z trzema mężczyznami poszukująca złota podczas

kalifornijskiej gorączki złota, fot. Wikimedia Commons
Ludzie stracili rozum, marynarze uciekali z okrętów, żołnierze z wojska, każdy zamykał swoją chałupę, barak, farmę, warsztat, miasta się wyludniły, stanęły młyny, w jedną noc okradziono mnie ze wszystkiego, garbarnie były puste, skóry gniły w kadziach, pastuchy opuszczali stada, plantatorzy plantacje, zboże gniło w polu, owoce w sadach, w stajniach, oborach stały głodne zwierzęta, wszyscy poszli w góry płukać złoto.

Och Generale!!!

Inni dorabiają się fortuny, nic nie robisz, nie stawiasz przeszkód,

z obojętnością patrzysz, jak zabierają i dzielą twoją ziemię,

nadają sobie tytuły własności, sporządzają nowe mapy,

dewastują twoje mosty, kanały, stawy, śluzy, drogi, młyny,

kto ci za to wszystko zapłaci, kto ci odda choćby małą część,

okradziono cię ze wszystkiego, twoje życie stało się piekłem,

tłum krzyczał:

SAN FRANCISCO > KALIFORNIA > SUTTER

Te trzy słowa obiegły cały świat, znano je wszędzie, w najbardziej oddalonych zakątkach. Z każdego miejsca na kuli ziemskiej wyruszali pojedynczy ludzie, wspólnoty, klany, bandy. Wyruszali do Ziemi Obiecanej, gdzie wystarczyło schylić się, żeby podnieść masę złota, pereł, diamentów, wszyscy dążyli do jednego celu:

E L D O R A D O

Grasują bandyci i złodzieje, walka o życie to prawo silniejszego, strzały w plecy, wieszanie na lasso, kopanie leżącego, szeryfem jest pistolet kaliber 45, prawem mocna pieść, wiadomość o złocie jest szybsza od ptaka i konia, ten czy tamten już wyjechał, inni jadą teraz w ślad za nimi, a następni pojadą po nich. Następni, następni, następni… Wielu dorobiło się już milionów. Wszędzie tam jest złoto, zbiera się je łopatami, wystarczy tylko się schylić, mieć mocne plecy do znoszenia worków ze złotem z gór do miasteczek, aby tam zamienić je na whisky i dziewczyny. Złoto to rzecz przeklęta, przeklęci ci wszyscy, którzy tutaj przyjechali, którzy tu przyjeżdżają i ci, którzy będą je wydobywać, bo większość z nich zginie. Życie staje się piekłem, ludzie zabijają się, mordują. Wszyscy oszukują, kradną.

Wielu zwariowało albo popełniło samobójstwo i to dla

Z ł o t a

cały świat generale przewalił się przez twój dom,

twoją ziemię, twoje życie. Tysiące razy myślałeś,

ile to wszystko jest warte, jak długo gorączka złota może trwać,

ile milionów dolarów wydobyto z twojej ziemi,

ile tysięcy ludzi bezprawnie zamieszkało na twoim terytorium,

ilu z nich zostało pochowanych w twoich ogrodach, sadach, na polach,

ilu z nich złoto uczyniło mordercami, pijakami, straceńcami,

Z ł o t o

przynosi nieszczęście, teraz jesteś tego pewien.

A N T Y C H R Y S T T O Z Ł O T O

Do nóg Generała pada pewna Rosjanka, podczas gdy on komentuje wizje świętego Jana i opowiada epizody ze swojego życia. On, najbogatszy człowiek świata, teraz nie ma nic, jego

życie, niedole, niedostatki, cała energia, wola, wytrzymałość, nadzieje, wszystko było niepotrzebne, on nie ma nic, to, co tak kochał: książki, papiery, instrumenty muzyczne, broń, narzędzia, skóry niedźwiedzi i pum, futra, kły morsów, fiszbiny wielorybów, wypchane ptaki, kolekcje motyli, indiańskie ubiory i wyroby, kolekcje bursztynów, szlachetnych kamieni, wszelkiego rodzaju minerałów, wszystko obróciło się w popiół.

Złoto północnej Kalifornii było jego, teraz wszystko obróciło się

w kupkę gorącego popiołu, wszystko to, co było najdroższe,

co reprezentuje życie i jest dumą człowieka, uleciało,

ze szczytu góry spoglądałeś na ogromny kraj, który użyźniłeś,

ogarnięty był grabieżą i ogniem, dochodziły do twoich uszu

odgłosy strzałów i ciżby, to co było ci tak bliskie i drogie,

zamieniło się w

P O P I O Ł Y I Z G L I S Z C Z A

We wrześniu 1850 roku Kalifornia wchodzi w skład Konfederacji

Stanów Zjednoczonych, lecz Waszyngton jest daleko,

na terenach generała powstało dziesięć wielkich miast,

m.in. San Francisco, Sacramento, Fairfield,

setki farm, 1 500 miasteczek i osad,

nie można temu zaradzić, nic zrobić, adwokaci fałszują

dokumenty, wystawiają nowe akty własności,

tylko w samym Nowym Yorku powstało 65 spółek

zajmujących się eksploatacją złóż, zebrany kapitał

sięgał milionów dolarów.

Żona Generała

umarła na progu domu tuż przed przywitaniem się z nim,

córka Mina jest w ciąży, przeszła wstrząs nerwowy,

ma trudności z mówieniem, syn Victor wyruszył w drogę

powrotną do Europy, ale jego statek zaginął

gdzieś na morzu koło Cieśniny Magellana,

drugi syn Artur zginął broniąc swojej farmy,

najstarszy syn Emil – adwokat – popełnił samobójstwo

w jakiejś komórce nie będąc w stanie znieść presji otoczenia.

Generale

tak się kończy twoja historia, twojej Kalifornii, Nowej Helwecji, tak się kończy historia emigranta ze Szwajcarii, najbogatszego człowieka świata z Kalifornii, żyjącego na zasiłku rządowym, starego wariata, który podał do sądu rząd Stanów Zjednoczonych o odszkodowanie na sto milionów dolarów.

Tak się kończy historia najbogatszego człowieka świata. A to dopiero niezły żart!



Etykieta papierosów z wizerunkiem generała Suttera
Ps.

Generał August Suter (Sutter) umarł w wieku 73 lat 17 czerwca o trzeciej popołudniu w 1880 r. Amerykański Kongres nigdy nie wydał ani orzeczenia, ani oświadczenia przyznającego mu – jako prawowitemu właścicielowi – ziemię, na której odkryto złoto. Generał nie otrzymał odszkodowania za poniesione straty. Również nikt z jego rodziny nigdy nie upomniał się o jakąkolwiek rekompensatę. Jeszcze można działać, jeszcze można żądać. Kto chce złota? Kto chce złota?

Źródła:

Poemat jest z tomu Adama Lizakowskiego p.t. „156 Listów

poetyckich z Chicago do Pieszyc”, wydanego przez Urząd Miasta i Gminy Pieszyce w 2012 r.

Powyższy tekst został oparty na książce „Złoto” Blaise Cendrasa wydanej przez Noir sur Blane w 1999 roku w Szwajcarii.

Thank you very much Mr. Cendras.

Zobacz też:

> W pogoni za złotem

Złączył nas czas.

Część 2.

Rozmowa z Jarosławem Abramowem-Newerlym, kompozytorem, satyrykiem, dramatopisarzem, pisarzem – o ludziach, wydarzeniach i sytuacjach, które pozostały w pamięci.

*

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Znakomita Pana sztuka „Maestro” w reż. Kazimierza Dejmka (1983), odbiła się szerokim echem. Jest to opowieść o skrzypku, który po wielu latach pobytu za granicą, chce zorganizować swój jubileusz w Polsce. Podobno inspirował się Pan historią Artura Rubinsteina, który zresztą przy innej okazji pojawił się na jednym z Pana spektakli.

Jarosław Abramow-Newerly:



Fot. Wiktor Zajkowski-Gad

Do Artura Rubinsteina żywiłem starą wdzięczność. Otóż w 1966 roku, akurat w czasie obchodzonego w Polsce Millenium dyrektor Jerzy Jasieński, ojciec Ireny Żurowskiej mieszkającej dziś w Toronto, postanowił wystawić w kierowanym przez siebie Teatrze Polskim w Warszawie moją nową sztukę „Derby w Pałacu”. Rzecz rozgrywała się w pałacu w Dembowcu, w państwowej stadninie koni, którą kierował dyrektor Roman Karbot. Karbot rozmiłowany w przeszłości przekształcił pałac w Dębowcu w swego rodzaju muzeum konia rasowego w Polsce. W głównej sali stała makieta naturalnej wielkości ogiera, czołowego reproduktora dębowieckiej hodowli. Tej polityce Karbota sprzeciwia się sekretarz Byrczak, który pragnie zmienić Dębowiec w ośrodek rekreacyjny, a część koni sprzedać wysoko

za dewizy. Wprowadza do pałacu swoich robotników, których wyrzuca Karbot. Nabywcą koni jest hrabia Zygmunt Dembopolski, przedwojenny właściciel Dębowca, który w tym celu po raz pierwszy po wojnie przyjeżdża do Polski z Toronto. Pisząc w 1965 roku tę sztukę szukałem na mapie dźwięcznej nazwy miasta i do głowy mi nie przyszło, że za dwadzieścia lat sam wyląduję w Toronto, tak jak mój bohater. Hrabia Dembopolski, którego znakomicie zagrał Władysław Hańcza, widząc po środku kukłę konia naturalnej wielkości nie omieszkał powiedzieć:

– *To pięknie. Mnie wyrzuciliście z pałacu w 1945 roku po to, by moje miejsce zajął wypchany ogier. Zaiste koński żart historii.* – *„Domator" to czołowy reproduktor naszej dembowieckiej hodowli. Znają go hodowcy w każdej księdze stadnej!* – mówi Karbot – *A mnie w każdym herbarzu polskim* – odpowiada Hrabia – *Ale nikt mnie z tego powodu nie wypchał i nie ustawił po środku pałacu. –Zabawne* – kpi dalej hrabia – *Koń powinien być rasowy, a człowiek nie powinien być rasistą. Geny i genealogia furda! Na śmietnik! A w życiu liczy się rasa! Krew! Kto cię począł, człowieku? ! Oto fundamentalne pytanie naszych czasów!*

Następnie hrabia Zygmunt wspomina wraz ze swoim kamerdynerem Józefem, który dalej pracuje w Dębowcu, dzień, kiedy w 1945 roku opuszczał pałac – *Obeszliśmy dookoła pałac* – mówi Józef – *a następnie pan hrabia spytał: – Czy ja tu jeszcze*

wrócę, Józefie? – Wróci pan hrabia! Przecież Bóg jest w niebie! – odparłem. – *Pan hrabia wyciągnął rękę na Wschód skąd grzmiało i rzekł: – Nie, Józefie. Nie wrócę. Azja nadchodzi. – I rzeczywiście. Nie wrócił. A mnie upaństwowiono wraz z pałacem.*

Kamerdynera Józefa grał wyśmienicie Bronisław Pawlik. Po kwestii „Azja nadchodzi!" otrzymywał gromkie brawa, które spokojnie przeczekiwał i dodawał. „I rzeczywiście". Tu znów dostawał brawa. Po dużej pauzie mówił dalszy tekst. Po pierwszym akcie sztuki, wpadł do mojej loży zdenerwowany dyrektor Jasieński i powiedział: – *Niedobrze, panie Jarku. Zenon Kliszko ani razu się nie uśmiechnął i bardzo mu się te oklaski na sali nie podobają.* Kliszko był drugą osobą w państwie po Władysławie Gomułce i kierował całą polityką kulturalną w partii – *To rzeczywiście niedobrze, panie dyrektorze* – przyznałem – *No, tak* – rzekł Jasieński. – *Ale jest nadzieja. Córce Kliszki sztuka się bardzo podoba, śmieje się i klaszcze, to może ona go przekona.* Bardzo mnie to zaniepokoiło. Dalej aktorzy grali jak na skrzydłach i odnieśli wielki sukces. Publiczność wstała i zgotowała im brawa na stojąco. Ja byłem wywoływany na scenę. Ale los sztuki i dyrektora Jasieńskiego wisiał na włosku.

W niedługim czasie po premierze władze partyjne zdjęły go z tej dyrekcji, dostał tak zwanego kopa w górę i mianowano go dyrektorem Teatru Wielkiego w budowie. I w tej niepewnej sytuacji mojej sztuki, we wrześniu 1966 roku przyjechał z wizytą

Artur Rubinstein i mój starszy kolega z radia, kierownik działu muzyki poważnej Roman Jasiński, stary przyjaciel Rubinsteina, zaprowadzi go na moje „Derby w pałacu”. I w wywiadzie udzielonym reporterce „Expresu Wieczornego” na pytanie co widział w Warszawie mistrz odpowiedział: – *Widziałem w Teatrze Polskim sztukę Abramowa „Derby w pałacu” i bardzo mi się podobała.* To zdanie wielkiego pianisty bardzo wzmocniło niepewną sytuację sztuki. Dopiero w grudniu tego roku, po sześćdziesięciu sześciu przedstawieniach przy bitych kompletach na sali sztukę kazano wyciszyć. Tak to się wtedy nazywało. Bezpośrednią przyczyną zdjęcia „Derbów” z afisza było oddanie legitymacji partyjnej przez mojego Ojca po tak zwanej sprawie Leszka Kołakowskiego.



Karykatura Jarosława Abramowa-Newerlego narysowana przez Zofię Góralczyk z STS-u (żonę reżysera Jerzego Markuszewskiego), fot. arch. J. Abramowa-Newerlego

W dziesięciolecie polskiego Października 1956 Leszek Kołakowski wygłosił odczyt na Uniwersytecie Warszawskim, w którym w ostrych słowach potępił odejście ekipy Gomułki od ideałów socjalizmu z ludzką twarzą, za co został usunięty z partii. Władze powołały specjalną Komisję Partyjną na czele z Zenonem Kliszko, która puszczała taśmę z nagraniem tego przemówienia i kazała się pisarzom partyjnym do niego ustosunkować, oczekując

oczywiście potępienia Kołakowskiego. Po przesłuchaniu taśmy Ojciec odparł, że w zasadzie zgadza się z Kołakowskim. Kołakowski nie powiedział nic nowego. – *Jak to!?* – obruszył się Kliszko i zaczął bronić polityki kulturalnej partii i systemu sprawiedliwości społecznej. – *A wie, towarzysz, ile kosztuje sprawiedliwość społeczna na Mazurach w powiecie mrągowskim, gdzie mam dom!? – Nie* – rzekł Kliszo. – *Pięćset złotych. Bo tyle wynosi łapówka, którą się daje sędziemu. I to wie każdy mieszkaniec we wsi.*

Tego było za wiele. Kliszko już tego nie wytrzymał: – *Niedaleko spada jabłko od jabłoni* – warknął zły przypominając sobie o moich „Derbach". Ojciec zaś żeby uprzedzić decyzję partii sam złożył legitymację partyjną w Związku Literatów Polskich.

Opowiedziałem historię „Derbów w pałacu", a Pani pytała mnie o sztukę „Maestro".

Historia tej sztuki jest niezwykle interesująca. Rzeczy, które się działy wokół niej, wiele mówią o tamtych czasach. A powracając do późniejszej sztuki „Maestro", Artur Rubinstein już nie zdążył jej obejrzeć.

Ale żył jeszcze w czasie gdy pisałem „Maestro" i czytałem jego pamiętniki. Jemu zresztą dedykowałem tę sztukę. Bohaterem jej był światowej sławy skrzypek Orland Steinberg, który w stanie

wojennym postanowił obchodzić swoje stulecie w Polsce, w której się urodził. Władze PRL pragną wykorzystać ten fakt propagandowo w celu zniesienia zachodnich sankcji dla Polski. Chcą jednak wizytę tę w pełni kontrolować. Mistrza zamierzają ugościć w pałacu w Wilanowie.

Czyli jest to już druga sztuka Pana, która rozgrywała się w pałacu.

No, właśnie. Był już taki precedens w rzeczywistości. Otóż gdy przyjechał z wizytą do Polski prezydent Francji generał Charles de Gaulle, I Sekretarz PZPR Edward Gierek kazał go umieścić w pałacu w Wilanowie. Edward Gierek w młodości był górnikiem w Belgii i jako jedyny przywódca w socjalistycznym obozie mówił po francusku. Jako ciekawostkę dodam, że słynna firma cukiernicza „Bliklego" wysłała generałowi do Wilanowa paczkę pączków. W czasie wojny bolszewickiej w 1920 roku młody major Charles de Gaulle był we francuskiej misji wojskowej w Warszawie i bardzo lubił jeść pączki w kawiarni „Bliklego" na Nowym Świecie.

W moim „Maestro" władze PRL zmieniają, na czas wizyty mistrza, dyrektora muzeum w Wilanowie i dają swojego człowieka wiadomych służb. Orland Steinberg pragnie się zobaczyć z dawnymi przyjaciółmi, których nazywa Ostatnimi Mohikanami. Wśród tych Indian jest pierwsza żona Orlanda,

słynna diva operowa Ksawera zwana Kseną. Mistrz przyjeżdża ze swoją piątą żoną, Eleonorą, emigrantką marcową. Rolę Kseny Kazimierz Dejmek powierzył Ninie Andrycz. W żartach mi powtórzył, że jak na pierwszej próbie aktorzy przeczytali tekst, to Nina Andrycz powiedziała: – *Panie dyrektorze. Ja nigdy w życiu nie grałam w epizodach*. – *Ależ pani Nino, to nie jest epizod!* – odparłem. – *Tylko co? – Duża rola* – odparłem. – *Jak to duża!? Nie ma mnie zupełnie w trzecim akcie. Publiczność zdąży o mnie zapomnieć*. I tu bestia miała rację. Tak więc, drogi autorze, musi Pan dopisać jej parę zdań w trzecim akcie, żeby mogła wyjść śmiało do ukłonów. Oczywiście chętnie się zgodziłem. I Nina Andrycz w trzecim akcie wychodziła w pięknym futrze od Mao-tse-tunga, które dostała w Pekinie od przywódcy Chin, podczas bratniej wizyty przyjaźni, ze swym mężem premierem Józefem Cyrankiewiczem i z dumą mówiła: – *Stara Warszawa to ja!* – zbierając gęste brawa.

Przed rozpoczęciem prób zaprosiła mnie do siebie do mieszkania w Alei Róż w Warszawie, żeby poprawić tekst, aby „stał się bardziej mowny" – jak powiedziała. Mimo, że uważałem siebie za specjalistę od dialogu te wszystkie jej drobne poprawki uznałem za słuszne. Miała świetny teatralny słuch. Głównego bohatera Orlanda Steinberga zagrał Ignacy Machowski. Był to znakomity aktor, tyle tylko, że miał nieszczęście zagrać rolę Lenina, do którego był bardzo podobny. Dejmek jednak obiecał, że go się ucharakteryzuje i nie będzie znać tego podobieństwa. I

rzeczywiście. Z włosami i siwą, krótką brodą Ignacy Machowski wyglądał jak Hemingway.

Na koniec powiem Pani rzecz niezwykłą. Otóż w kilkanaście lat od premiery „Maestro" Alina Janowska zaprosiła mnie do Szkoły Muzycznej na Żoliborzu w Warszawie, którą jako radna się opiekowała. I tam podeszła do mnie pewna pani i powiedziała: – *Pan mnie sobie nie przypomina. Jestem żoną Igo Machowskiego. Maestro w Pana sztuce! – Ach, oczywiście* – potaknąłem przypominając sobie, że Machowski się w tym czasie ożenił. – *No, właśnie. A to jest jego córka. Bardzo utalentowana skrzypaczka, która wystąpi niedługo z koncertem w Filharmonii Narodowej* – przedstawiła mi młodą dziewczynę. I co Pani na to, pani Joanno!? Rola wielkiego skrzypka to sprawiła? Nie umiem sobie tego wytłumaczyć.

To rzeczywiście niezwykła opowieść.

Jarosław Abramow-Newerly, „Ja, ty, oni", 1975 r., słuchowisko radiowe

Aleksandra Ziółkowska-Boehm przypomniała, że w latach 70. otrzymał Pan nagrodę Teatru Telewizji, w którym pracowała w redakcji repertuaru, organizując konkursy, prowadząc biuletyn Teatru TV. Mówiła, że kiedy ogłaszany był konkurs na sztukę teatralną, Pana sztuki zawsze znacząco się wyróżniały na tle innych

przysyłanych tekstów, od razu się czuło, że są napisane i przemyślane przez znakomitego dramaturga. Jak przypomina Pan sobie ten czas?

Z panią Aleksandrą Ziółkowską-Boehm rzeczywiście poznałem się w Telewizji w Warszawie kilka miesięcy przed wprowadzeniem stanu wojennego. W 1967 roku napisałem dwie jednoaktówki „Zebek" i „Wrotek" według opowiadań Marka Nowakowskiego pod tym samym tytułem. Połączyłem je w całość pod wspólnym tytułem „Swojacy". Agnieszka Osiecka dopisała piosenkę. „Swojakami" zainteresował się Janusz Warmiński, dyrektor Teatru „Ateneum" i chciał wystawić ich na małej scenie swego teatru. Bardzo się z Markiem ucieszyliśmy. Po pewnym czasie zaprosił mnie do teatru i ze smutną miną oświadczył, że nie uzyskał zgody z Urzędu Miasta na wystawienie tej sztuki. Bardzo żałowałem, bo mogło to być dobre przedstawienie. W czasie pierwszej „Solidarności" Telewizja zainteresowała się „Zebkiem" i chciała go zagrać w swoim teatrze. Otrzymał chyba nawet jakąś nagrodę. Wszystko przekreśliło wprowadzenie stanu wojennego. A z panią Aleksandrą później spotkałem się w Toronto, gdzie przebywała na stypendium.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm przypomniała też o procesie Melchiora Wańkowicza, w którym Pana ojciec występował jako świadek obrony. Proszę o tym opowiedzieć.

To jest właśnie jeden z pisarzy o lwim piórze w PRL. W 1964 roku opublikowany został krótki list trzydziestu czterech wybitnych pisarzy i intelektualistów, w tym Wańkowicza, do władz państwowych z apelem o zmianę polityki kulturalnej i złagodzenie działalności cenzury. List ten odczytany został w rozgłośni Radia Wolna Europa i stał się powszechnie znany. Wańkowicz oskarżony został o to, że przekazał ten list do RWE i pisał wrogie teksty szkodzące Polsce Ludowej. Wytyczono mu proces sądowy. Wańkowicz nie skorzystał z adwokata i sam się bronił. Poprosił też na świadka obrony mojego Ojca. Tata w swoim wystąpieniu jako jedyny na sali stanął po jego stronie. Powiedział, że posadzenie na ławie oskarżonych wybitnego pisarza w kajdankach między dwoma milicjantami nie jest dobrym pomysłem i nigdy jeszcze nie przyniosło pożądanych efektów. I im wcześniej Melchior Wańkowicz zostanie zwolniony tym lepiej. Bo nikt jeszcze nie wygrał z człowiekiem pióra. Obok Ojca wystąpili jeszcze pisarze Kazimierz Koźniewski i Bohdan Czeszko i potwierdzili zarzuty stawiane oskarżonemu. Wańkowicz zaprzeczał kontaktom z Wolną Europą i twierdził, że list 34 krążył po Warszawie i mógł być przekazany przez kogoś innego. Po swoim uwolnieniu (dostał wyrok w zawieszeniu) był niezwykle wdzięczny Ojcu za jego obronę na procesie i niemal do końca życia na swoje imieniny zapraszał Ojca na litewską nalewkę robioną przez siebie.

W 1985 roku wyjechał Pan wraz z żoną Wandą biologiem z

doktoratem z wirusologii do Kanady, gdyż żona dostała tam pracę. Zostawił Pan za sobą artystyczne środowisko, budowane przez wiele lat, kontakty, całe swoje zawodowe życie. Wydawałoby się, że trudno będzie Panu odnaleźć się na emigracji. Ale nie, do satyryka, dramaturga, kompozytora doszła jeszcze jedna profesja – pisarza. Zajął się pan tematem Polaków na emigracji, a umiejętności prozatorskie okazały się kolejnym Pana talentem. Powstały takie książki jak „Kładką przez Atlantyk", „Pan Zdzich w Kanadzie", czy historia rodziny Wawrów – polsko-ukraińskich emigrantów w Toronto w książce „Nawiało nam burzę". Powiedział Pan kiedyś, że dzięki emigracji, stał się Pan prozaikiem.

Rzeczywiście tak się stało. W kraju byłem przede wszystkim satyrykiem i dramatopisarzem. Do 1975 roku podpisywałem się tylko Jarosław Abramow, chcąc się odróżnić od mojego Ojca. Ale kiedy miałem już swoją własną ustaloną pozycję literacką spytałem Ojca, czy mogę użyć drugiego nazwiska Newerly. Ojciec bardzo się ucieszył i zażartował: – *A ja myślałem, synu, że ty się mnie po prostu wstydzisz?* W ten sposób podkreślona została tradycja rodzinna. Moja Żona Wanda, która po doktoracie z wirusologii pracowała w Państwowym Zakładzie Higieny w Warszawie otrzymała propozycję pracy w Kanadzie najpierw na Uniwersytecie w Kingston, a potem w Toronto. Byliśmy oboje bardzo zmęczeni stanem wojennym i postanowiliśmy trochę

odetchnąć świeżym powietrzem w Kanadzie pachnącej żywicą. Znałem ją tylko z książek podróżniczych Arkadego Fiedlera. W Kingston przebywała młodsza siostra Wandy, Danuta Kozbór – Fogelberg, która po doktoracie przeniosła się do Filadelfii i pracowała w słynnym Wistar Institute kierowanym przez naszego rodaka, wynalazcę doustnej szczepionki przeciw polio, chorobie Heine-Medina profesora Hilarego Koprowskiego.

Do Kanady wyjechaliśmy sami zostawiając u Babci Heleny Kozbórowej naszą małą córeczkę Marysię. Po roku Babcia Helena z Marysią do nas przyjechała. Nie zamierzaliśmy długo zostać w Kanadzie. Jak laboratorium Wandy prowadzone przez profesor Johna Rodera przeniosło się z Kingston do Toronto, pozostawała sprawa mieszkania. I w jego znalezieniu pomógł mi STS.

W jaki sposób?

Bardzo prosty. Znany reżyser Tadeusz Jaworski, którego mi polecił Janusz Warmiński, jak wyjeżdżałem do Kanady, powiedział mi, że Krzysztof Topolski bardzo chce mnie zobaczyć. – *Nie znam żadnego Krzysztofa Topolskiego* – odparłem – *Ale on mówi, że ciebie zna z STS-u*. Umówiłem się z Topolskim. Na spotkanie stawił się młody, przystojny człowiek i przedstawił się. – *Pan o mnie nie słyszał, ale ja jestem bratem Marysi Wichrzyckiej, żony Wojtka Wichrzyckiego. A ich pan z STS-u*

dobrze zna! – Oczywiście. A oni są tu? – Jak najbardziej. Zaraz Pana do nich zaprowadzę. Wojtek Wichrzycki pracował u nas w STS-e w brygadzie technicznej, z zawodu był inżynierem i powszechnie był lubiany. Spadli więc mi jak z nieba. Ucałowaliśmy się z Wojtkami serdecznie – *Ja zmieniłem tu swoje trudne do wymówienia przez Kanadyjczyków polskie nazwisko Wichrzycki na Topperman, rodowe nazwisko rodziców Marysi* – śmiał się Wojtek – *W Toronto jest wielki przedsiębiorca Tepperman i często mnie z nim mylą* – powiedział. Wojtek był jedynym chyba Polakiem, który ze względu na pochodzenie żony zdecydował się pozostać za granicą, a pracował wtedy jako inżynier drogowy w Iraku i chciał zaprotestować w ten sposób przeciw antysemickiej nagonce prowadzonej w Polsce przez generała Moczara.

Wracając do mojego mieszkania, to Krzysztof Topolski postanowił się tym zająć. Sam pracował jako sprzedawca używanych samochodów w *Automotiv Clearance Center* i miał wielką siłę przebicia. Dowiedział się, że pracownikom Uniwersytetu w Toronto przysługuje duży blok mieszkalny, gdzie mieszkania są ulgowe. Ponieważ laboratorium badawcze Johna Rodera w *Mount Sinai Hospital* należało do Uniwersytetu, Wandzie to mieszkanie w pełni przysługiwało. Udaliśmy się razem z Krzyśkiem do administracji tego domu i Krzysiek ze swadą przedstawił mnie jak przyszłego laureata Nagrody Nobla, a Wandę jako Marię Skłodowską-Curie. Oczarowana jego

elokwencją administratorka, pani Nicolson, bez trudu nam to ulgowe mieszkanie przyznała. W ten sposób zamieszkaliśmy w dużym wieżowcu przy 35 Charles Street. Zaraz po naszym wprowadzeniu zapukał do naszych drzwi młody człowiek, który przedstawił się: – *Nazywam się Jerzy Barankiewicz. Słyszałem, że do tego mieszkania sprowadzili się Polacy. Jeżeli mogę Państwu w czymś pomóc to służę swoją osobą. Proszę się nie krępować* – zaoferował się. Tak poznałem Jurka Barankiewicza, doktora biochemii, z którym do dziś jestem w wielkiej przyjaźni.

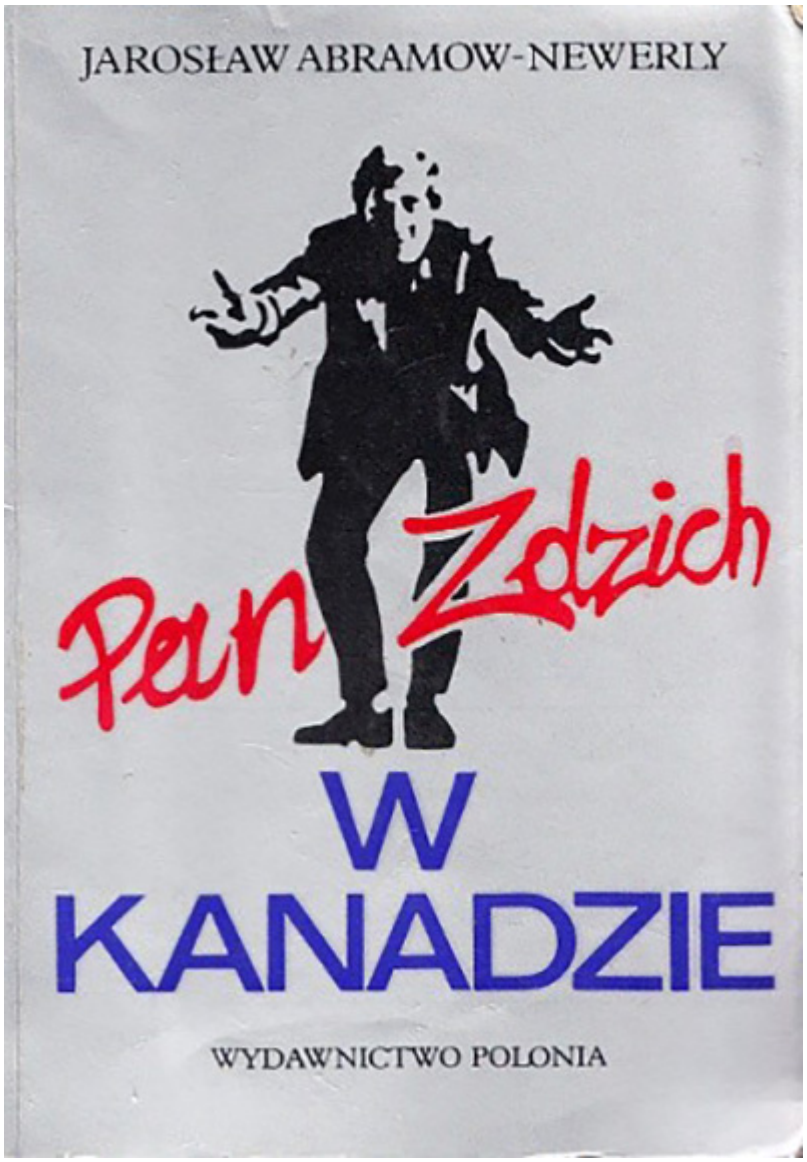

Zacząłem chodzić na lekcja angielskiego, które prowadzone były za darmo w domu parafialnym przy kościele na Charles Street. Tam poznałem przebojowego młodego Polaka, który bardzo narzekał na niską zabudowę domów w Toronto: – *To domki jak z westernu, proę pana* – mówił z wyższością. Współpracowałem już wtedy z polonijną gazetą „Związkowiec", gdzie pod pseudonimem pisałem felietony i przyniosłem artykuł o tym młodym człowieku, którego nazwałem Zdzichem. Tekst ten bardzo się w redakcji spodobał i Robert Długoborski, którego znałem jeszcze z radia w Warszawie, zaproponował, żebym pisał tak dalej. W ten sposób w tygodniowych odcinkach powstał „Pan Zdzich w Kanadzie", którego pisałem pod pseudonimem Marian Radomski. I na spotkaniu świątecznym w „Związkowcu" podszedł do mnie działacz Związku Polaków w Kanadzie i spytał: – *Pan Radomski? – Tak* – odparłem ze śmiechem. – *Ja jestem też Radomski* – oświadczył – *Panie! Co ja mam przez tego Pańskiego „Pana Zdzicha"! Wszyscy myślą, że ja go piszę.*

Muszę przyznać, że cała redakcja „Związkowca" zachowała się bardzo ładnie i nikomu nie zdradziła, że to ja go piszę. Konspiracja więc była pełna. Miałem polski paszport i nie chciałem zrywać więzi z Krajem. Przy pisaniu tej książki wykorzystałem wszystkie swoje satyryczne doświadczenia jako autor STS, dlatego jest pełen humoru. Ale do głowy mi nie przyszło, że dosłownie za parę lat, w 1989 roku, dojdą w Polsce i na świecie takie zmiany, że będę go mógł podpisywać swoim

nazwiskiem i będzie nadawany w Kraju w popularnej audycji radiowej „Cztery pory roku” w znakomitej interpretacji Mariana Kociniaka. To w 1986 roku było nie do pomyślenia.

Na emigracji powstała również doskonała trylogia biograficzna „Lwy mojego podwórka”, „Lwy wyzwolone” i „Lwy STS-u”. „Lwy mojego podwórka” to jedna z lepszych książek o powstaniu warszawskim, jakie czytałam w życiu. To historyczne wydarzenia pokazane z perspektywy dziecka. Pojawia się tam m.in. postać rotmistrza Witolda Pileckiego, który uratował życie Pana mamie i Panu. Proszę o tym opowiedzieć.

Początek „Lwów mojego podwórka” miał też w „Związkowcu”, gdzie napisałem duży tekst „Moja III Kolonia”. Potem podczas pisania mojej polsko-ukraińskiej sagi „Nawiało nam burzę” bohater książki Leszek Wawrów gorąco mnie namawiał, żebym napisał swoją autobiograficzną książkę. I tak prawie równolegle do powstania „Nawiało nam burzę” ukazały się w 2000 roku w Wydawnictwie „Twój styl” „Lwy mojego podwórka”.

Książka miała bardzo duży odzew czytelniczy. Zwłaszcza na Żoliborzu. Dyrektor Wydawnictwa Andrzej Rosner mówił mi, że z biblioteki na Żoliborzu zadzwoniono do niego z prośbą o drugą książkę „Lwów”, bo w bibliotece ustawiają się do niej kolejki. Żyło jeszcze wtedy dużo moich kolegów z podwórka. Dziś żyję już

tylko ja i Krystyna Brzezińska Lindenberg. Mało coś nas, kurka wodna. Powtarzam za Ryśkiem Praczem.

Wracając do Pani pytania to w 2000 roku jedynie nieliczni ludzie w Polsce wiedzieli kto to jest Witold Pilecki. Syn Witolda Pileckiego, mój kolega Andrzej Pilecki przyszedł do mnie do domu podziękować, że wspomniałem o jego ojcu, przyniósł też fotografię ojca, którą zamieściłem w drugim wydaniu książki. Z czasem o Pileckim stało się głośno, i brytyjski reporter Jack Fairweather wydał o nim książkę w 2019 roku pod tytułem „The Volonteer. W 2020 roku ukazało się polskie wydanie tej książki zatytułowane „Ochotnik" w wydawnictwie „Znak". Spotkałem się parokrotnie z Jackiem Fairweatherem, opowiedziałem mu w jakich okolicznościach poznałem Witolda Pileckiego.

W 1943 roku, już po aresztowaniu mego Ojca i osadzeniu Go w obozie koncentracyjnym na Majdanku, zjawił się u nas żydowski szmalcownik, który przedstawił się jako przyjaciel Lejzora Czarnobrody, którego mój Ojciec pomógł ukryć na wsi, za co w 1983 roku przyznano mu Drzewko Sprawiedliwych wśród Narodów Świata w Jerozolimie. Otóż szmalcownik ten zaczął moją Mamę szantażować, że jeżeli nie otrzyma odpowiedniej sumy pieniężnej to nas wyda na Gestapo, bo jemu jest już wszystko jedno. Zdenerwowana Mama pobiegła do naszych przyjaciół na III Kolonii Aleksandry i Aleksandra Palińskich, gdzie przychodził na obiady Major, czyli Witold Pilecki i

opowiedziała mu o tym. Pilecki uspokoił ją i przyrzekł, że się tą sprawą zajmie. I rzeczywiście zajął się, bo od tej pory ten szmalcownik do nas przestał przychodzić. Najpewniej został zlikwidowany.

Po wojnie w 1948 roku zgłosiła się do mojej Mamy kobieta, która przedstawiła się jako przyjaciółka Witolda Pileckiego i błagała Mamę, żeby pomogła załatwić prawo łaski u Bolesława Bieruta tak, żeby Witold Pilecki uniknął kary śmierci. Mama nie znała Bieruta, ale przed wojną jako panna wynajmowała mieszkanie u Janiny Bierutowej, pierwszej żony Bolesława Bieruta. Jako nauczycielka śpiewu w szkole RTPD uczyła też dwoje dzieci Bolesława Bieruta Isię i Janka. Zabawne też było, że Bierutowa skarżyła się Mamie, że Bolek, który przebywał wtedy w Moskwie, zdradza ją z niejaką Małgorzatą Fornalską. W tym mieszkaniu u Bierutowej na II Kolonii WSM składał wizyty Mamie mój Ojciec.

Po Jego wyjściu Bierutowa powiedziała do Mamy: – *I na co pani Panno Basiu taki stary mąż? Młoda, ładna panna może sobie poszukać młodszego*. Mama się roześmiała. Ojciec wtedy miał dwadzieścia siedem lat. Ale zapuścił brodę, nosił długie włosy i wyglądał bardzo poważnie. Mama kazała Ojcu zgolić brodę i jak następnym razem przyszedł do Mamy to zdziwiona Bierutowa powiedziała: – *No, tak. Teraz widzę, że to młody człowiek*. Ja też Janinę Bierutową znałem, bo była u nas w przedszkolu RTPD woźną. Zapamiętałem ją jak chodzi z kubłami i szczotką. a za nią

biegną nasze przedszkolne dwa psy Morus i Totka. Mama postanowiła natychmiast pójść do Bierutowej i przedstawić jej sprawę Pileckiego. Bierutowa nie była już woźną w przedszkolu tylko wysoką inspektorką w ministerstwie Oświaty. Przyjęła Mamę bardzo serdecznie i obiecała pomóc. Kiedy następnym razem Mama się z nią spotkała powiedziała ze smutkiem: – *Niestety pani Basiu nic mi się nie udało zrobić. Bolek odparł, że to jest sprawa polityczna i nie skorzysta z prawa łaski*. Tak więc niezłomny rotmistrz Witold Pilecki został rozstrzelany w 1948 roku. Jego kroki na dziedzińcu, jak prowadzą go do celi śmierci słyszał inny więzień Mokotowa, mój przyjaciel Janusz Krasiński, który opisał to w książce „Na stracenie”.

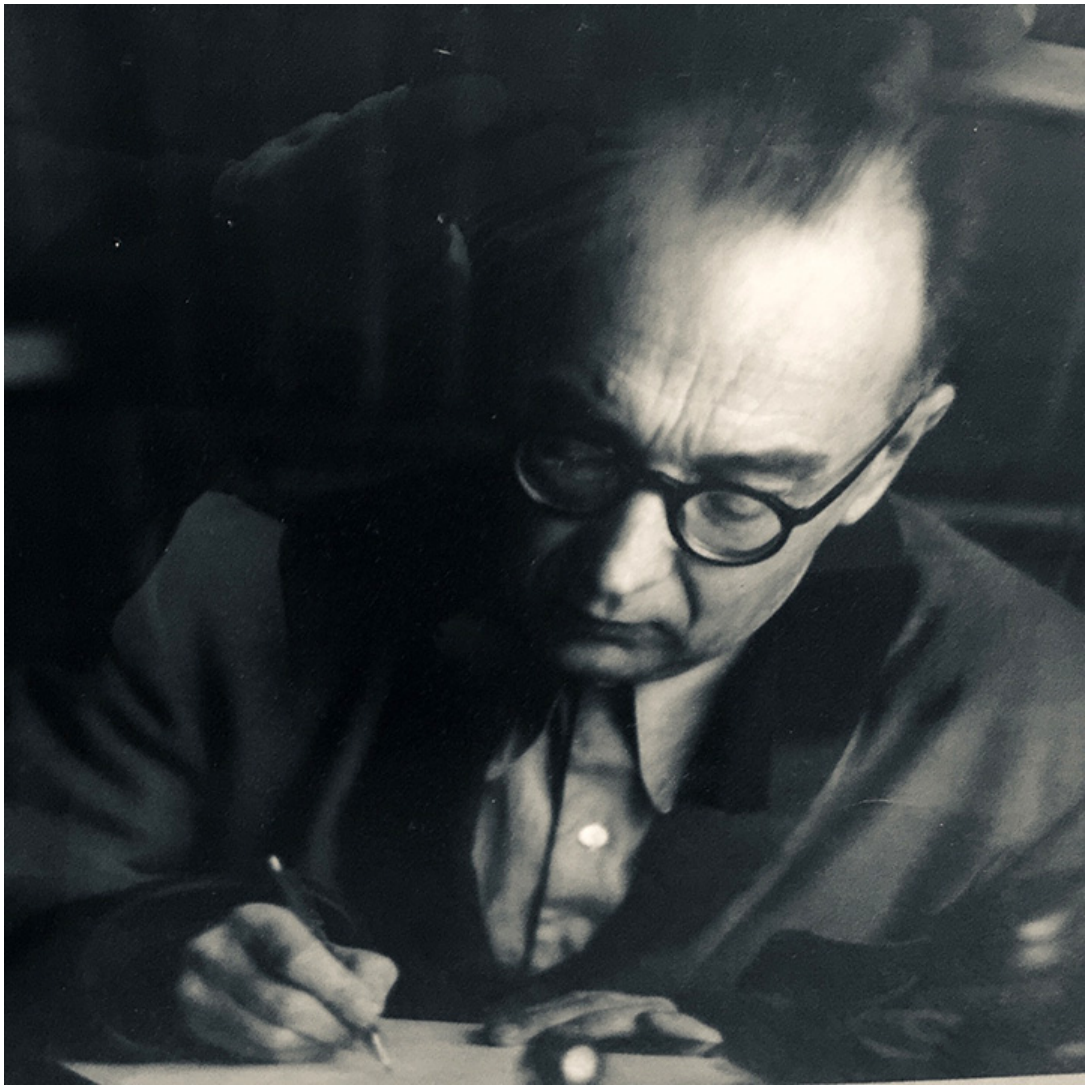

Tata, Igor Newerly, fot. Piotr Kirnarski

W magazynie „Culture Avenue” opublikował Pan dwa fragmenty książki „Ich lwi pazur” o polskim środowisku literackim. Czy może Pan coś więcej powiedzieć o tej książce?

Teraz zmieniłem ten tytuł na „Piórem, z lwim pazurem”. W tej książce wspominam moich przyjaciół pisarzy mojego pokolenia: Włodzimierza Odojewskiego, Janusza Krasińskiego, Marka Nowakowskiego, Jerzego Sito, Andrzeja Jareckiego, Władysława Terleckiego, Kazimierza Orłosia, Jerzego Krzysztonia i wielu

innych. Oprócz ich portretów starałem się pokazać jak wielką rolę w PRL odegrała mała sala Związku Literatów Polskich w Warszawie w walce o niezależność ludzi pióra i wolność słowa. Książka zaczyna się w 1960 roku z chwilą mojego przyjścia do radia, a kończy się teraz. Z perspektywy czasu widzę, że wielu pisarzy pokazało władzom partyjnym taki lwi pazur, dość że wspomnę tu chociażby Janusza Szpotańskiego, który za swoją bezkompromisową szopkę satyryczną na ekipę rządową Władysława Gomułki odsiedział trzy lata więzienia. Bardzo dokładnie opisuję w tej książce moją pracę w Polskim Radio, które przeżywało wtedy swój złoty okres. Wtedy narodziła się polska szkoła słuchowiska radiowego. Moja książka wciąż znajduje się w redakcji u redaktora Huberta Musiała, ale myślę, że w tym roku wyjdzie w wydawnictwie PIW.

Ukazały się też pana wspomnienia o wyjazdach z ojcem na wakacje p.t. „Mój dąb w Suwałkach". Jednocześnie w 2019 r. wyszła książka Marka Boruckiego „Wybitne dzieci sławnych Polaków", w której jest rozdział o Pana ojcu Igorze Newerlym i Panu. Jakie relacje łączyły Pana z ojcem? Czy był on dla pana wzorcem literackim?

Bardzo ciekawa książka Marka Boruckiego sprawiła mi ogromną radość. Znaleźć się wśród dwudziestu czterech rodów tak sławnych Polaków jak Aleksander Fredro, Stanisław Moniuszko, Zofia Nałkowska, Jacek Malczewski, Józef Chełmoński, Józef

Conrad – Korzeniowski czy Stanisław Wyspiański to prawdziwy zaszczyt. Jestem w tej książce jedynym żyjącym wybitnym dzieckiem. Marek Borucki pokazuje w swej książce, jak trudno jest udźwignąć dzieciom ciężar sławy swoich wielkich ojców. Doświadczyłem tego sam na sobie dlatego tak dobrze rozumiem świetnego malarza Rafała Malczewskiego, który pędzlem starał się odróżnić od swojego sławnego ojca. Ja, jak już wspomniałem, nie używałem nazwiska mojego Ojca to 1975 roku. W poczuciu własnej wartości uratował mnie teatr STS i dramaturgia radiowa i teatralna. To była moja mała wyspa ocalenia.

Przygotowujac nasze spotkanie rozmawiałam z prezes Fundacji PAW (Polish Artists in the World) – Henryką Mielczanowską, która jest kuratorem wystawy Edwarda Barana – artysty mieszkającego we Francji. Opowiadała, że Edward Baran wielokrotnie wspominał STS, cytując z pamięci teksty i śpiewając piosenki. Czy Pan go pamięta?

No jakżesz. Oczywiście. Wiedziałem, że wyjechał do Francji. Wysoki blondyn. Przez wiele lat pracował w STS-e i był bardzo lubiany. Zaprzyjaźniony z Wojtkiem Wichrzyckim, o którym wspomniałem. Pozdrawiam Cię najmocniej kochany Edziu i ogromnie się cieszę, że się odezwałeś.

W rozmowie, którą wykorzystałam w książce „Teatr spełnionych nadziei" powiedział Pan: – *W Toronto mam*

taką swoją polską wysepkę. Zauważyłem, że czym jestem starszy tym bardziej się izoluję. Nie mam ochoty wyjść na imprezę, gdy np. jest brzydka pogoda. W domu mam warunki, spokój i dobrze mi. W Warszawie ciągle coś mnie rozprasza, spotkania, wizyty, promocje. A tu mam cały dzień dla siebie, wyprowadzam tylko psa i piszę. **Czy nadal Toronto, to Pana wyspa?**

Tak. Mam tylko do dodania to, że wierny przyjaciel moich codziennych spacerów, pies corgy, nazwany na cześć Franka Sinatry, którego piosenki Wandzia uwielbiała, zmarł niestety w marcu 2020 roku w sędziwym psim wieku piętnastu i pół lat. Kiedy w klinice weterynaryjnej na pytanie jak się nazywa pies Wandzia mówiła: – *Franky. Jak Frank Sinatra,* wzbudzała tym zawsze salwy śmiechu. Franek był bardzo popularny w wieżowcu, w którym mieszkam. Jak sąsiedzi zobaczyli mnie samego zaraz pytali – *A gdzie Franky?* Gdy odpowiadałem, że nie żyję głęboko mi współczuli. Teraz jestem sam na mojej wyspie i jedynym ratunkiem jest pisanie.

31 stycznia 2021 roku odbyło się spotkanie z Jarosławem Abramowem-Newerlym przez platformę Zoom w ramach Klubu Historyka Austin Polish Society w Teksasie. Obecny wywiad utrwala oraz uzupełnia to, o czym rozmawialiśmy podczas spotkania (Joanna Sokołowska-Gwizdka).

„Bohdan, Bohdan trzymaj się”, słowa i muzyka Jarosław Abramow-Newerly, śpiewa Bohdan Łazuka

Część 1:

> Złączył nas czas. Część 1.

Zobacz też:

> W krzywym zwierciadle Jarosława Abramowa-Newerlego

O poecie Adamie Zagajewskim

Urodzony 21 czerwca 1945 r. we Lwowie, zmarł 21 marca 2021 r. w Krakowie – polski poeta, eseista, prozaik, przedstawiciel

pokolenia Nowej Fali, sygnatariusz Listu 59 (1975), od 1976 objęty cenzurą, w latach 1982–2002 na emigracji we Francji, od 1983 redaktor „Zeszytów Literackich”; laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1975), Międzynarodowej Nagrody Neustadt w dziedzinie literatury (2004) i Nagrody Księżnej Asturii (2017), w latach 1973–1983 członek Związku Literatów Polskich, od 1979 członek Polskiego PEN Clubu, od 2006 członek Polskiej Akademii Umiejętności; nauczyciel akademicki, tłumacz literacki (wikipedia).



Adam Zagajewski (z lewej) podczas spotkania w Teatrze Chopina

w Chicago w 2012 r., copyright Adam Lizakowski

Adam Lizakowski *(Chicago-Pieszyce)*

W pierwszy dzień wiosny 2021 r. umarł w Krakowie poeta, laureat wielu prestiżowych nagród literackich w Polsce i za granicą. Zmarł w wieku 75 lat.

Literacki Paryż bardzo mnie interesował z czasem poznałem korespondencyjnie ciekawego człowieka i poetę Macieja Niemca, tam mieszkającego redaktora pisma pt. „Kontakt", wydawanego przez sławnego w Ameryce wówczas działacza *Solidarności* Mirosława Chojeckiego. Z czasem wysłałem do redakcji fragment dziennika kalifornijskiego i tak rozpoczęła się nasza korespondencja i papierowa znajomość. Natomiast z poetą Adamem Zagajewskim spotykałem się wielokrotnie w Stanach w San Francisco, w Krakowie i po raz kolejny po latach w roku 2011 w Chicago. Zaprosiłem go na lampkę dobrego wina do jednej z restauracji na Michigan Avenue, niecałe sto metrów od *Chicago Arts Institute*. Po krótkiej rozmowie emigrantów; jak się panu w Ameryce żyje, co nowego w poezji, nad czym pan teraz pracuje, wyjąłem z plecaka trzy kilogramy wierszy z prośbą o napisanie wstępu do mojego zbioru wierszy pt. *156 listów poetyckich z Chicago do Pieszyc*, który planowałem wydać w Polsce, właśnie we wspomnianych już w tytule Pieszycach. Ku mojemu miłemu zaskoczeniu poeta się zgodził, nawet nie musiałem długo go namawiać, wprawdzie zajęło mu to prawie pół roku, ale napisał. Dołączyłem przedmowę do maila,

który wysłałem do Pieszyc, do Wydziału Promocji Miasta, który prowadził i finansował całe przedsięwzięcie i pech chciał, że słowo wstępne poety krakowskiego, gdzieś się zapodziało. Skład redakcyjny tworzyli Paweł Brzozowski, Sławomir Szel, Dawid Cech pracownicy wydziału promocji miasta, dyrektorka biblioteki Lidia Zakrzewska-Strózik, za korektę odpowiadała pani Jolanta Maniecka. Kilka lat później będąc w Krakowie zadzwoniłem do niego z prośbą o spotkanie, ale był zbyt zajęty, jednak wskazał miejsce (kawiarenka), gdzie zostawiłem dla niego ów tomik wierszy, bez wyjaśniania, dlaczego nie ma w nim jego wstępu. Krępowałem się, że tego nie dopilnowałem, bo to był mój obowiązek.

Wstęp pana Zagajewskiego był dla mnie dużą radością i wyróżnieniem i na prawdę bardzo się nim cieszyłem, tym bardziej, że sam mistrz Miłosz zawsze, ale to zawsze mówił o twórczości Zagajewskiego z dużym uznaniem i to publicznie podczas odczytów i prywatnie wśród znajomych. Pamiętam, że raz, a było to w roku 1988 po spotkaniu poetyckim, w którym pan Czesław wygłosił odczyt o poezji polskiej, gdy podszedłem pogratulować mu wystąpienia, ze zmartwioną miną zapytał się mnie, czy mi się podobało? Nie zaskoczył mnie tym pytaniem, bo już na tyle dobrze go znałem, że spodziewałem się takiego pytania. Często pytał się znajomych, co myślą o jego najnowszej książce, odczycie, publikacji czy wierszu, wieczorze autorskim i nawet nie czekając na moją odpowiedź dodał,

zapomniałem wspomnieć Staszka Barańczaka. Tak, pan Adam Zagajewski był jego zdecydowanym faworytem bardzo go sobie cenił jako człowieka i poetę.

Moja znajomość z poetą Adamem Zagajewskim trwała ponad 25 lat, a poeta swoim „stwierdzeniem, poznałem Lizakowskiego dzięki Miłoszowi" zawsze w towarzystwie „zamykał mi usta". Pan Adam należał już do chyba jednych z ostatnich ludzi, których poznałem w towarzystwie pana Miłosza mieszkając w San Francisco i studiując w Berkeley.

Jego śmierć jest i będzie wielką stratą dla polskiej poezji.

***

Fragment eseju pt. „Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą".

Galeria

Zdjęcia Adama Zagajewskiego są autorstwa Adama Lizakowskiego, zostały zrobione podczas spotkania w Teatrze Chopina w Chicago w 2012 roku, copyright Adam Lizakowski.





- 



